

T e r e s a   H o ł ó w k a

## Człowiek serio

Profesorowi Bogusławowi Wolniewiczowi winna jestem wspomnienie. Mam wrażenie, że darzył mnie sympatią, a ja z pewnością darzyłam go szacunkiem. Tak właśnie było – i nic więcej. Ja go nie darzyłam podziwem, a on nie darzył mnie uznaniem. Ale obojgu nam wystarczało to, co było. Wiązała nas jakaś powściągliwość i niechęć do przesady; cichy, głęboki pesymizm, obrzydzenie do serwilizmu, matactwa czy zabiegania o sukces. Byliśmy z pewnością niedzisiejsi. On w swoich flanelowych koszulach i z ostentacyjnym aparatem słuchowym. Ja bez własnej koterii i bez makijażu, z umiłowaniem do Czechowa i często ulegająca znudzeniu, jakie wywołuje kołowrót codziennych spraw. Wolniewicz wydał mi się człowiekiem z innej epoki. Z jakiej był epoki, tego nie wiedziałam, ale bardzo tę epokę lubiłam.

Zdobyłam jego sympatię całkiem niespodzianie. Wiele lat temu zamieściłam w czasopiśmie „Literatura” wypowiedź na temat wychowania seksualnego w szkole. Odpowiedziałam na tekst autorki, która argumentowała, że seks trzeba odczarować i wyprowadzić na światło dzienne. Niech dzieci w szkołach dowiadują się o pierwszej miesiączce, o ciąży, o zaburzeniach erekcji i o tym, że wszyscy jesteśmy zwierzętami seksualnymi, że swoje potrzeby mają ładne dziewczyny i brzydkie, atleci i cherlacy. Niech się tego nie wstydzą, nie boją i nie ulegają pruderii. Wiedziałam, że intencje tego artykułu były dobre, ale jego sugestie wydawały mi się niedojrzałe. Ja byłam zdania, że z seksem nie ma żartów, i że gadaniem się tego nie zmieni. Lepiej nie wszczynać dyskusji, których nie umie się poprowadzić. Zawsze irytacją reagowałam na *Carmen* i w tej operze widziałam kwintesencję tego, co z ludźmi może zrobić seks. Oślepia ich i ogłupia, usprawiedliwia z dokonanych oszustw i brutalności. Kompletnie paraliżuje zdolność przewidywania. Z człowieka mądrego robi durnia. Z dziewczyny pewnej siebie, dumnej i w sumie chyba przyzwoitej,

hipnotyzującą heterę i cyniczną wampiryzę. Perypetie Don Josého, który rozpacza nad wędnącem kwiatem, wydawały mi się majaczeniami szaleńca, który tańczy na linie. Zupełnie nie potrafiłam znieść jego desperacji i pasji, która każe mu raczej zabić niedoszlą kochankę niż pozwolić, by go opuściła z torreadorem. Dla mnie to nie była tragedia miłosna, która wiedzie nieszczęśnika do samobójstwa, tylko tragedia samobójcy, który przed śmiercią mami się urojoną i ślepą miłością. Wiedziałam to jakoś od dziecka, że pasja niszczy dobrych ludzi i pozwala triumfować manipulatorom. Ale z drugiej strony wiedziałam też, że świat bez pasji zanudziłby nas na śmierć. Tak czy inaczej byłam pewna, że w szkole lepiej uczyć roztropności i umiaru niż zachwyty nad szaleństwem nie do opanowania. Wolniewicz przeczytał tę moją wypowiedź i kiedyś zatrzymał mnie na korytarzu, by powiedzieć, że on myśli podobnie: „Pani nie uznaje permissywnego wychowania dzieci, prawda? Dzieci trzeba prowadzić za rękę, a nie puszczać samopas i patrzeć, jak sobie radzą. Liberalny rodzic to po prostu zły rodzic. Tym patałachom powinno się dzieci odbierać. Tylko komu je oddać? Dziadek z babcią też już się na wychowawców nie nadają. Wie Pani, co to była freblówka? To niech Pani sobie gdzieś przeczyta”. Z dalszej rozmowy wykręciłam się jakimś frazesem, ale byłam przekonana, że Wolniewicz ma rację. Dzieciom potrzebna jest dyscyplina. Później w jego książce przeczytałam:

Miłość to groźna siła, zdolna uderzyć w każdego, a zostawiająca po sobie ból i spustoszenie. To samo powiedział wcześniej Szekspir w swoim sonecie 129. A pedagodzy chcą opanować tę groźną siłę gadaniem i pouczającymi książeczkami. Równie dobrze mogliby zatrzymywać ręką lokomotywę (*O Polsce i życiu*: 120).

Luźnych rozmów mieliśmy znacznie więcej. Jednak na zajęcia prof. Wolniewicza nie chodziłam. Odstręczał mnie jego apodyktyczny styl wykładu i jawne lekceważenie wielu autorów, którzy nie zasługiwali na pogardę. Nawet jego zachwyty były jakoś uproszczone. Nietzsche – biologista. Heidegger – blagier. Marks – wielki filozof. Wittgenstein – geniusz. Nie chodząc na jego zajęcia, nigdy nie musiałam się zżymać na despotyczny styl prowadzenia tych zajęć i uwolniona byłam od zbędnej fascynacji pokazami tłumionej agresji. Ale ta nieobecność miała także złą stronę. Dziś nie jestem pewna, co naprawdę słyszałam od Wolniewicza, a co tylko sobie wyobraziłam na podstawie żywych relacji osób, które były świadkami jego zdecydowanych wystąpień. Czyli nieobecność spowodowała, że czasem mieszają mi się fakty z fikcyjnymi obrazami. Ale wyobrażam sobie, że sam Wolniewicz raczej by się zgodził, że pewne fikcje lepiej charakteryzują świat i ludzi niż suche opisy. „Trafiąją w sedno” – jak często powtarzał za Wittgensteinem.

Wiele naszych krótkich rozmów pozostawało bez związku z filozofią. Ale tylko z pozoru. Wolniewicz często wspominał, że psychologia niepotrzebnie oderwała się od filozofii. Ta oderwana, rzekomo naukowa psychologia, to tylko fizjologia lub nauka o odruchach – argumentował – czyli w sumie behawioryzm. Czym więc psychologia powinna się zająć? Nie powinna nas uczyć o tym, jakie mamy właściwości, zdolności i ograniczenia, tylko jakie mamy zobowiązania wobec siebie i innych. „Prawdziwa psychologia jest nieempiryczna i dotyczy ludzkiego charakteru” – powiedział mi kiedyś. Wierzył w to, co pisał Schopenhauer, że istnieją trzy typy ludzkie: aniołowie, diabły i bydło. „Niech Pani popatrzy na Uniwersytet. To widać gołym okiem”. Próbowалам zaprzeczać: „Ludzie są skomplikowani”. Usłyszałam natychmiast: „Chyba fałszywi i krętacze. Tu się z Panią zgadzam. I niech Pani nie wierzy, że człowiek się zmienia. Ludzie tylko dają się zastraszyć, coś czasem udają lub stosują mimikrę. Ale szują zawsze pozostanie szują, a cwaniak cwaniakiem. To widać w ich oczach: martwe, nieruchome, zapadnięte do środka”. Milczałam. Wolałam go dalej słuchać, niż się z nim spierać.

Kiedyś mi powiedział, że pozór elastyczności psychicznej bierze się z tego, że ludzie często starają się być kimś innym, niż są. Ale zwykle tylko stwarzają takie pozory. Czasem nawet udatnie i czasem sami w to wierzą, że się zmienili. „Ale to wszystko bujda. Człowiek zawsze zostanie tym, kim był. To chyba oczywiste. Niech Pani pomyśli. Pewni ludzie potrafią zabić, a inni nie. Widać to już u dzieci”. Przy tej lub podobnej okazji usłyszałam od niego historię o chłopcach, którzy złapali kota na jakimś wysypisku, wsadzili go do gumowego kalosza i pozwolili mu tylko wysunąć łeb. Potem obcęgami wyrwali mu zęby jeden po drugim i puścili na wolność. Bez zębów musiał zdechnąć z głodu. „Czy myśli Pani, że takich chłopców można zmienić? Że staną się aniołami, jeśli przez pięć lat nie zadręcą kolejnego kota? Jeśli ktoś ma diabelski charakter, to ten charakter pozostaje w nim na zawsze, niezależnie od tego, co robi i kogo udaje. Liczy się nie to, co ludzie robią, tylko to, do czego są zdolni. Sadysta może się kryć przez pięćdziesiąt lat ze swym bestialstwem. Ale czy to go oczyszcza albo zmienia?”

Chyba nic nie odpowiedziałam, tylko zapytałam go wprost: „A jeżeli człowiek chce się zmienić i próbuje ze wszystkich sił? Jeśli stara się na przykład wydobyć z nałogu, to nic go nie różni od tego, który się w ogóle nie stara?” Wolniewicz po chwili namysłu powiedział coś takiego: „Ma Pani rację. Staranie wiele zmienia. Sam to Pani powiedziałem. Liczą się nie fakty, tylko zdolności, moc działania, zdolność odcięcia się, postępowania wbrew sobie. To jest coś takiego, jak przemiana religijna. Jakiś człowiek kradł i oszukiwał, ale nagle przestał. Jeśli sam zaplanował tę zmianę, to ona może być prawdziwa, ale jeśli ktoś go urabiał, to niech Pani w taką pedagogikę nie wierzy”.

Wielu autorów podejmujących problemy społeczne, polityczne i moralne lubi opierać się na analogiach. Szuka ogólnych reguł i zaleceń. Jeśli jedna osoba może wejść bez biletu na stadion sportowy, to tak samo mogą wejść inni. Jeśli wszystkie dzieci w szkole chodzą bez kapci, to po co kapcie Jankowi? Wolniewicz takich rozumowań nie lubił. Nie dlatego, że wyrwane z kontekstu uogólnienia są bezzasadne. To by było zbyt banalne. Chodziło mu raczej o to, że w wielu sytuacjach różnice są ważniejsze niż podobieństwa, ponieważ uczą subtelności w myśleniu. Skupiał uwagę na tym, co unikalne i niezwykle. Chętnie mówił, że pewne rzeczy są *sui generis*, czyli jedyne w swoim rodzaju. Na przykład ciąża. Płód żyje w symbiozie z matką i jeśli jej zagraża, to nie ma bezwzględnie prawa do życia. Gdy powstaje tragiczna sytuacja konfliktu interesów między matką i płodem, to czasem przerwanie ciąży jest uzasadnionym, przerażającym wyborem. Dopuszczał wyjątki i sytuacje bez precedensu. Na tej podstawie dopuszczał też eutanazję. Dawał bulwersujący przykład mężczyzny w późnym stadium raka, którego nie można było już operować, i którego treść przewodu pokarmowego wracała przez usta. Podkreślał wtedy, że nie mamy obowiązku wytrwać w bezcelowym cierpieniu tak długo, jak długo biologiczne procesy nie dobiegną końca samoistnie. Można być skazanym na karę śmierci, ale nie można być skazanym na nieodwołalną karę trwania w czysto biologicznym istnieniu. To byłoby zbyt okrutne. Chyba przy tej okazji zaczął stosować termin „biolatria”, czyli chronienie życia dla samego życia.

Największe wrażenie robiły na mnie jego ataki na współczesną cywilizację, na postmodernizm, upadek dobrych manier, idolatrię pieniądza, pośpiech, powierzchowność, jaskrawe reklamy, hałaśliwą muzykę. Zgadzam się, że jest coś odpychającego w modzie, która powstaje przez skrzyżowanie kaftana kosmicznego ze strojem bikini, w połączeniu wulgarności z pewnością siebie i bezczelności ze sprawowaniem władzy. Przerażał go upadek bibliotek i wyrzucanie dobrych książek na śmietnik. Tu jestem całkowicie po jego stronie. Drażniło go w szczególności stosowanie nędznych środków dla osiągnięcia wysokich celów, czyli samochwalstwo, wypraszenie pochwalnych recenzji, wzajemne popieranie się w nauce, stosowanie łatwych chwytów propagandowych. Wyśmiewał tytułomanię, hierarchię urzędniczą, strojenie się w cudze piórka. W tych działaniach widział oszustwo i pustą destrukcję.

Tak jak sposobem niszczenia uniwersytetu jest nazywanie „uniwersytem” byle czego: uniwersytet muzyczny, uniwersytet ekonomiczny, uniwersytet techniczny, uniwersytet medyczny – rozpuścić to wszere. I tak samo byle co nazwać „rodziną”, żeby jej duchowe siły osłabić i poddać władzy urzędnika państwowego (*W stronę rozumu*: 90).

Tę inflację słów, instytucji i wartości nazywał Wolniewicz „korodowaniem cywilizacji” (*W stronę rozumu*: 74). Korodowanie cywilizacji to wszelkiego rodzaju pójście na łatwiznę. Chętnie cytował Romana Suszkę, który powiedział, że są „szpetne prawdy i piękne fałsze”. Cenić powinniśmy jednak nie to, co jest ładne, tylko to, co jest prawdziwe. Prawdę przesłania wiele zasłon: strach przed władzą, płytkość religii, nienawiść społeczna, dyplomatyczna ostrożność, obawa przed utratą pracy lub szansy awansu.

Jego szacunek dla prawdy, a nawet tylko dla uczciwego szukania prawdy, powodował, że Wolniewicz był człowiekiem bardzo niezależnym. Często irytującym, nieostrożnym w werbalnych atakach i dominującym w drażniący sposób. Ale ta bezkompromisowość była zawsze praktykowana w tym celu, by uwolnić umysł od stereotypów, łatwych skojarzeń i leniwego poprzestawania na komunałach. Być może tylko za taką cenę można w filozofii osiągnąć coś niezwykłego.

## Bibliografia

- Wolniewicz B., *O Polsce i życiu. Refleksje filozoficzne i polityczne*, Komorów 2011.  
Wolniewicz B., *W stronę rozumu*, Warszawa 2015.